

Franciszek Misztowt

SIEW - ŻEL - DOR - ŁAG

Północny Obóz Kolejowy w KOMI ASSR

ABSTWUM WSCHODNIE

Urodziłem się 4.10.1927 r. w Wilnie. Ojciec - Wincenty - był aptekarzem, matka - Albina z Urasowskich - była w domu. Ojciec miał aptekę w Komajach, oprócz tego mieliśmy dwie kamienice w Wilnie przy ulicy Subocz oraz willę w Kolonii Magistrackiej.

We wrześniu 1939 roku uczęszczałem do 6 klasy szkoły powszechnej w Komajach. Rosjanie wkroczyli do Komaj kilka dni po 17 września. Tego dnia rano do miasta wjechały dwa czołgi rosyjskie. Starsi pochowali się w domach, a na ulicach były tylko dzieci. Czołgi zatrzymały się i wyszli z nich żołnierze, byli strasznie brudni, osmaleni, mundury mieli grubo pokryte smarami. Wrażenie było przykre. Wieczorem wkroczyło wojsko. Żołnierze byli jednakowo umundurowani, tak że nie można było rozróżnić oficerów od szeregowców, bo ich znakiem rozpoznawczym były tylko małe czerwone kwadraty i trójkąty przy kołnierzach. Umundurowanie było bardzo nędzne, wielu miało cywilne czapki na głowach, a na nogach "cze-te-ze". "Czeteze" to były kawałki opon z wycięciem na kostce, które przewiązywało się sznurkiem i nosiło zamiast butów.

Początkowo nie było represji wobec ludności. Policja polska wcześniej uciekła, podobnie urzędnicy gminy i burmistrz. Z zabudowań burmistrza żołnierze ukradli krowę, którą okrutnie zabili i nieoczyszczoną gotowali.

Ojcu zarekwirowano aptekę. Razem z nią zabrano z kuchni przyprawy i proszki i mydła z łazienki, traktując to wszystko jako lekarstwa.

Do dzieci Rosjanie odnosili się sympatycznie, chętnie rozmawiali i pozwalali wchodzić na czołgi. Wobec starszych natomiast zachowywali rezerwę. Starsi nas pouczyli i kazali się zapytać żołnierzy, czy w Rosji są pomarańcze i cielęcina? Odpowiadali, że pomarańcz jest u nich "oczeń mnogo, bo fabryki dień i nocz rabotajut". Katow u nas mało, no tielatiny skolkko chcesz."

Tego samego wieczora po wkroczeniu Rusczy zgonili ludność miasteczka na mityng do szkoły. Na mityngu agitatorzy opowiadali jak u Ruskich jest dobrze. Jeden z agitatorów opowiadał,

że u nich są tanie traktory, które żną zboże, młóca, miela mąkę i z tyłu na pole wypadają upieczone bochenki chleba. Na to jeden z Polaków, przemysłnik, który często chodził przez granicę, powiedział, że to prawda, bo on też widział takie maszyny, że jak wrzucisz do nich z jednej strony świniaka, to z drugiej wychodzi kiełbasa. A jak kiełbasy jest za dużo, to wrzucasz kiełbasę a wychodzi świniak. Cała sala na to ryknęła śmiechem. Przemysłnik wyskoczył przez okno i uciekł, pomimo tego, że szkoła otoczona była przez NKWD.

Kilka dni po wkroczeniu Rosjan brat, który był w wojsku, wrócił do domu. Jak wchodził przez miasteczko, to pozrywał wszystkie rosyjskie afisze. Na drugi dzień było z tego powodu dużo szumu w mieście, ale brata nie znaleziono.

W jakiś czas potem zaczęły się wywózki. W pierwszej kolejności wywieziono nauczycieli wraz z rodzinami. Wywózki przeprowadzano nocami. NKWD podjeżdżało furmankami, waliło kolbami w drzwi i krzycząc "Dawaj, wychodź!", wyganiano wszystkich z domu. Nie pozwalano niczego zabrać. Dochodziło do tego, że ludzie wychodzili z domu tak jak stali, w piżamach. Brali ze sobą tylko to, co zdążyli w biegu złapać. Poza nauczycielami wywieziono też rodziny pracowników gminy oraz tych właścicieli ziemi, którzy mieli ponad 6 ha. Lekarza pozostawiono, tyle że jego służącej Ruscy kazali leczyć, lekarz natomiast miał w domu sprzętać. Jednego nauczyciela pozostawiono i mianowano go wójtem. Nazywał się Kozłowski, uczył mnie polskiego, historii i geografii, był przyjacielem mojego ojca. Pewnego dnia powiadomił ojca, że jesteśmy na liście do wywózki. Rodzice natychmiast poprosili o furmanki, załadowaliśmy dobytek. We czwórkę z siostrą i rodzicami pojechaliśmy przez Łetupy do Święcian. W Święcianach rodzice wynajęli pokoik, w którym spędziłem całą zimę. Rodzice po tygodniu czasu wyjechali do Wilna, ja zaś zacząłem uczęszczać do I klasy gimnazjum rosyjskiego. W Święcianach zostaliśmy do czasu ustalenia granicy rosyjsko-litewskiej. Święciany znalazły się w Rosji.

Na wiosnę 1940 roku dojechałem wraz z siostrą do rodziców do Wilna. Zacząłem uczęszczać do szkoły kolejowej, uczyłem się na dyspozytora ruchu. Uczniowie byli skoszarowani w bursie. Była to ogromna sala na 100 łóżek. Wśród uczniów przeważali Polacy, ale językiem wykładowym był litewski. Po jakimś czasie uciekłem z tej szkoły i byłem w domu rodziców.

Dopóki na tych terenach byli Rosjanie - panował głód, gdy zaś nastąpiła Litwa - zaopatrzenie wróciło do normy.

Msze św. odprawiano początkowo tylko po litewsku, później zezwolono na msze w języku polskim. Były wypadki, że Litwini wpadali wówczas do kościołów z pałkami i bili wiernych. Docho-
dziło też do starć przed kościołami. Polacy nie pozostawali bierni i brali odwet.

Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej w czerwcu 1941 roku wojska rosyjskie w popłochu uciekały z Wilna. Oddziały litew-
skie usadowiły się na Górze Trzykrzyskiej i ostrzeliwały z niej wycofujących się Rosjan. Następnego dnia po ucieczce Ros-
jan na ulicach Wilna były rozbite samochody i trupy żołnierzy rosyjskich.

Do Wilna wkroczyli Niemcy. Byli elegancko ubrani, w czys-
tych mundurach. Żołnierze prosili o wodę, myli się i golili. Mówię to dlatego, aby podkreślić różnicę między Rosjanami a Niemcami. Wrażenia były odwrotne od poprzednich.

W 1941 i 1942 roku zaczęła się tworzyć partyzantka. Do la-
su uciekali ludzie zagrożeni represjami niemieckimi, łączyli się w kilkunasto osobowe grupki. Partyzanci dzieli się na "białych" i "czerwonych". Wśród "czerwonych" byli Żydzi, Ros-
janie i polscy komuniści, utrzymywali oni łączność z armią radziecką.

Ojciec po przyjeździe Niemców odzyskał swoją aptekę. Była prawie całkowicie okradziona z lekarstw, tak że nie było czym handlować. Później ojciec przejął opuszczoną aptekę w Widzach. Uczęszczałem do szkoły litewskiej i pomagałem ojcu w aptece.

W Widzach było dwóch lekarzy: Pachewski i Kuszniw. W Pa-
chewskiego leczyli się partyzanci z AK, u Kuszniwa - AL-owcy. Jedni i drudzy przychodzili do ojca po lekarstwa. Zdarzało się, że w razie nieobecności "swojego" lekarza partyzanci wo-
żali do chorych ojca. Pod koniec 1942 roku ojciec został are-
sztowany przez milicję litewską za udzielanie pomocy party-
zantom. Od wywózki do obozu uratowało ojca to, że partyzanci z AL napadli na Widze, pomordowali milicjantów i uwolnili u-
więzionych, w tym i ojca. Po swoim uwolnieniu ojciec nie mógł dłużej pozostawać w Widzach i wrócił do Wilna. Ja zaś nadal pilnowałem apteki.

Nawiązałem wówczas kontakt z partyzantami z AK, bywałem w lesie w ich obozach.

W 1943 roku wyjechałem z Widz do Wilna. Zacząłem uczęszczać na komplety do kościoła Ojców Redemptorystów. Spotkałem się z kolegami, którzy działali w dywersji. Mieliśmy swoje dowództwo z AK, ale znaleźliśmy się tylko w naszej czwórce. Byłem łącznikiem i przenosiłem broń, lekarstwa i pisma na terenie Wilna. Posługiwałem się znalezioną przez ojca metryką na nazwisko Beynarowicz Paweł, rocznik 1930. Metryka ta zapewniała mi ochronę przed wywózką na roboty do Niemiec, gdyż wynikało z niej, że mam 13 lat.

Kiedy Niemcy zaczęli przychodzić do nas do domu i wypytywać się o mnie, poszedłem do lasu. 3 maja 1943 roku złożyłem przysięgę i stałem się partyzantem VI Samodzielnej Brygady AK pod dowództwem "Tonka", 1 kompanii "Drzewica", 3 plutonu "Sulimy", 9 drużyny "Pepeszy". Nie wiem, czy ja miałem pecha, czy "Pepesza" miał pecha, ale w dwa dni po moim przyjeździe do drużyny on został zabity w starciu z Niemcami. Zaatakowaliśmy, nie zdając sobie z tego sprawy, duży oddział SS. Niemcy ruszyli na nas tyrakierą i wyparli nas z naszych pozycji. Cofaliśmy się przez otwarty teren. Zginął wówczas "Pepesza" i "Chińczyk". Ja miałem dobrą pozycję i udało mi się wycofać z lasu.

Poszliśmy na Kaszety, gdzie znajdowały się bunkry graniczne, stacjonowali tam żołnierze Plechawiezusa i Niemcy. Zdobyliśmy po krótkiej walce Kaszety i doszliśmy do sąsiedniego plutonu, który miał kilka kilometrów dalej zdobywać sąsiednie bunkry. Zdobyli je bez naszej pomocy. Cały czas byliśmy w marszu, dnie spędzaliśmy w krzakach, nocami zaś przemieszczaliśmy się.

W 1944 roku moja brygada miał wziąć udział w akcji "Ostra Brama". 7 lipca mieliśmy zająć stanowiska koło Ajszyszek. Zostałem przydzielony do taborów, moja drużyna konwojowała stado krów. Krowy te zdobyliśmy po drodze, zato w starciu z Niemcami zdobyliśmy kilka samochodów i broń. Byliśmy już w strefie frontu. Pewnego dnia wyszliśmy z lasu prosto na oddział niemiecki. Nasz dowódca zaczął rozmawiać z oficerem niemieckim. Przestrzegaliśmy nas przed Ruskimi i rozeszliśmy się, my w jedną, Niemcy w drugą stronę. Niebawem natknęliśmy się na czujki rosyjskie.

Nie zdążyliśmy już dołączyć do oddziałów, które zdobywały Wilno. Nasi dowódcy zostali aresztowani przez NKWD.

Część naszej kompanii została otoczona przez Rosjan, mój pluton zdołał wycofać się do puszczy. Po dwóch dniach zostaliśmy zwolnieni z przysięgi z bronią wróciliśmy do domu.

Zamieszkałem z rodzicami w Kolonii Magistrackiej. Broń zakopałem w lesie koło domu. Miejsce zakopania broni pokazałem swojemu koledze z konspiracji. W tym czasie byłem w domu, nic nie robiłem, tylko łąsikowałem z kolegami. Była straszna bieda, nie było chleba. Matka gdzieś zdobywała mąkę i piekła chleb, które dzieliła na dzienne porcje. W 1945 roku zaczęliśmy dostawać chleb na kartki. Rodzina moja była dość liczna i dostawaliśmy dużo kartek. Chodziłem po chleb razem z siostrą i staraliśmy się dawać kartki na 1 kg chleba. Sprzedawczyni, która wycinała kartki, wypisywała na nich cyfrę "1". Siostra, stojąc w kolejce po chleb, dopisywała "0" i dostawaliśmy 10 kg chleba.

Zacząły się transporty do Polski, równocześnie zaś trwały aresztowania. NKWD aresztowało m.in. mojego kolegę z "czwórki". Był on partyzantem u "Łopaszki", gdzie dosłużył się kaprała. Potem zarejestrował się w armii Berlinga i paradował po Wilnie w mundurze z partyzantki. Po aresztowaniu wyspał mnie, że byłem w AK i że mam schowaną broń.

23 czerwca 1945 roku przyszło NKWD, zaczęli stuknąć do drzwi. To samo działo się w innych domach. Ojciec kolegi, nasz sąsiad, uciekał i został postrzelony pod naszym domem. Do rana słyszałem jego przeraźliwy krzyk, o świcie enkawudziści znówu przyszli. Tym razem siostra otworzyła im drzwi. Wyprowadzili mnie przed dom i zaczęli pytać: "Ty, polskij banditi! gdzie ty masz orużje?" - Jeden z nich zaprowadził mnie do zwłok sąsiada i powiedział, że ja też zaraz tak będę wyglądał. Postawił mnie pod drzewem i wycelował we mnie swoje parabelum. Chciał mnie zastraszyć, ale ja milczałem. Potem zaprowadził mnie do pobliskiego wykopu i tam mnie zbił. Bijąc, wymienił broń, jaką ukryłem, krzyczał: "Masz ruskuju wintowku, niemieckij Mauzer, pistolet i granaty!" - Ja się załamalem, wszystko potwierdziłem i zaprowadziłem go na miejsce, gdzie była zakopana broń. Zostałem aresztowany. Siedziałem w areszcie przy ulicy Mickiewicza. Śledztwo trwało cztery miesiące.

Siedziałem w celi nr 7, cęła była 2 x 4 metry duża, siedziało w niej średnio 3, maksymalnie 14 więźniów.

Oprócz mnie w celi byli sami Litwini. Nauczyłem się od nich języka litewskiego, opanowałem też rosyjski. W celi siedział wojewoda wileński, który się mną opiekował, oddawał mi swoją porcję "bałandy" - wyżywienia więziennego. Był też profesor leśnictwa z Uniwersytetu Wileńskiego oraz dyrektor zakładów farmaceutycznych.

Przesłuchania odbywały się w nocy. Do celi przychodził "barbos" /"klawisz"/ i wywoływał więźniów, np. na literę "B". Prowadził potem na przesłuchanie. Na korytarzu stały szafy z ławeczkami w środku. Więźnia oczekującego na przesłuchanie sadzano w szafie i zamykano. Zdarzyło się, że czekałem na przesłuchanie i kilka godzin. Raz oczekiwałem w szafie do rana i bez przesłuchania zaprowadzono mnie do celi.

W pokoju przesłuchań był taboret, biurko, za którym siedział śledczy, lampa. Na pierwszych przesłuchaniach podawałem się za Beynarowicza, nie przyznawałem się do udziału w konspiracji, a o broni plotłem, że znalazłem ją na pobojowisku. Śledczy spokojnie słuchał i notował. Powtórzyłem tę historię ze trzy razy, aż w końcu śledczy powiedział mi, że kłamie. Zbił mnie i podał moje prawdziwe nazwisko. Wiedział, że byłem w AK, bo powiedzieli mu o tym moi koledzy. Pytał się mnie o innych żołnierzy AK, ale ja mówiłem, że nikogo nie znam, że nazywam się Beynarowicz itd. Wtedy on mnie bił, kazał mi "siedzieć na kancie" stołka, a w końcu urządził mi konfrontację z moim kolegą z AK. Ja się wtedy załamane i do wszystkiego przyznałem. W czasie śledztwa najbardziej dokuczala mi bezsenność. Co noc odbywały się wielogodzinne przesłuchania, a w dzień nie można było spać.

18 października 1945 roku miałem rozprawę razem z moimi kolegami z "czwórki" z dywersji kolejowej. "Suka" zawieszono nas do sądu. Sądziła nas "trojka", to jest sędzia, prokurator i obrońca. Prokurator i obrońca nas oskarżali, a sędzia przeczytał wyrok. Wszyscy czterej zostaliśmy skazani za grupową i pojedynczą zdradę ojczyzny z bronią w ręku i z § 58 pkt. 1 a i pkt. 11 dostaliśmy po 10 lat łagru i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Prosto z sądu zawieszono nas do więzienia na Łukiszkach. Zamknięto mnie w celi razem z kolegami z "czwórki". Co kilka dni robiono nam "szmend", czyli rewizję. Wygániano nas z celi na korytarz, kazano się rozebrać do naga i centymetr po centymetrze sprawdzano szwy ubrania.

Zabierano każdy kawałek metalu, wrywano sztuczne zęby, zabierano metalowe guziki, skuwki sznurówek i okuc w butach.

Od rodziny dostałem paczkę ze swetrami, kocami, ciepłą bielelizną i butami filcowymi.

W noc wigilijną wygoniono wszystkich więźniów do "cyganki". Była to wielka, zimna hala. Czekano w niej na nas pełno enkawudzistów. Każdy wołał do siebie jednego więźnia, rozkazał się rozebrać i rewidował go, zaglądając w uszy, do ust i w dupę. Zrewidowani odchodzili na bok. W końcu wszystkich zrewidowano i wygoniono nas na zewnątrz. Było już wiśnie. Ustawiono nas w szeregach. Co dwa metry z prawej i z lewej strony stał enkawudzista, co drugi z psem. Z tyłu i z przodu stały samochody z karabinami maszynowymi. Padła komenda: "Wnimanije! szag w prawo, szag w lewo, strielaju bez perupreżdenija!" /Uwaga! krok w prawo, krok w lewo, strzelam bez uprzedzenia!/. Popędzono nas przez miasto. Na ulicach Wilna było pełno ludzi, którzy musieli się dowiedzieć o transporcie. Wśród nich zobaczyłem też moją siostrę. Doszliśmy tak do dworca, tam kazano nam siadać na śniegu i czekać. Pogodzinie zaczęli wywoływać pojedynczo z listy i wsadzono nas do wagonów. Jako jedyny Polak trafiłem do wagonu, w którym byli Litwini i Rosjanie. Było nas razem 45-ciu. W środku wagonu była wyrębana dziura w podłodze do załatwiania się. Z obu stron drzwi były nary. Wagon był nieogrzewany. Rosjanie, którzy byli w moim wagonie, to byli kryminaliści, złodzieje i bandyci. Po zamknięciu wagonu obrabowali nas ze wszystkiego. Mnie zabrali całą odzież, tak że zostałem tylko w koszuli, spodniach i skarpetkach. Udało mi się tylko schować w szparze przy drzwiach jeden koc. Potem dostałem od Rosjan szynel kolejowy, "czeteze" i niemiecką czapkę wojskową. Watowanym kocem owinąłem sobie nogi. Siostra, która musiała widzieć jak mnie wsadzano do wagonu, przekupiła strażników i ci pozwoli jej przynieść mi worek z chlebem. Nie wziąłem od niej chleba mówiąc, że i tak zaraz mi go ukradną i nie ja go będę jadł, ale ci złodzieje.

W czasie transportu raz dziennie przynoszoną nam "bałandę". Była to polewka z kartoflami. W wagonie było kilka puszek po konserwach. Jedliśmy więc po kolei. Ruscy dawali nam wodę z wierzchu, sobie zaś zostawiali kartofle. To co nam zrabowali, kryminaliści wymieniali potem z konwojem za chleb, papierosy i wódkę.

Upici - bili nas i kopali. Mimo tego, że była ich mniejszość, to nikt się nie buntował i nie stawiał oporu, starałem się trzymać z boku.

Kilka dni po opuszczeniu Wilna sporządzono listę więźniów. Nie podałem już nazwiska Beynarowicz Paweł, tylko swoje, Misztewt Franciszek. Minęło jeszcze kilka dni i na postoju w lesie wywołano mnie na zewnątrz i zaprowadzono do ostatniego wagonu, gdzie za stołem siedział młody Żyd. Powiedział do mnie: "O, ty, swołocz! polskij bandit! ty ubiegat' chcesz? Kak twoja familia?" - Odpowiedziałem, że "Misztewt", a on na to, czemu nie podałem "Beynarowicz"? Wyprowadził mnie z wagonu i mówi: "Błaggy, blaty, swołocz, ty polskij bandit!" - Ja się nie ruszyłem z miejsca. On tylko czekał aż zrobię krok, żeby mnie zastrzelić. Dostałem kopniaka i pogonił mnie spowrotem do wagonu. Do Rosjan powiedział: "Eto polskij bandit', pogulajcie z nim!" - Wlazłem w kąt nary. Pociąg ruszył.

Wówczas komuś przypomniała się historia z chlebem, którego nie chciałem wziąć od siostry. Wyłuskali mnie z pryczy, zarzucili ręcznik na głowę i naradzali się, co ze mną zrobić? Jeden chciał mi wykłuć oczy, inny mówił, żeby mi obciąć język i uszy, wreszcie któryś rzucił pomysł, żeby mi nabić rogi. Tak też postanowili. Jeden z Ruskich zaczął mnie pstrykać w czoło w jedno i to samo miejsce. Pierwsze uderzenie boli, drugie jeszcze mocniej, trzecie bardzo, czwarte też, piąte już czuję jakby mnie w gołą ranę bił, szóste, siódme, dziesiąte, zaczyna mi ten ból mijać i ucieka w tył głowy. Spojrzałem w górę i widzę ten róg, długi jak palec. Nabili mnie takie dwa rogi. Nie czułem już bólu, tylko mi dudniło w głowie, byłem na wpół przytomny. Na koniec uderzyli mnie jeszcze w szyję i straciłem przytomność. Nie wiem jak długo byłem nieprzytomny. Kiedy doszedłem do siebie, rogów już nie było. Litwini robili mi okłady na czoło. Do końca podróży nie schodziłem już z pryczy.

Podróż trwała do połowy marca, dwa i pół miesiąca. Przez ten czas nie miałem ani razu stolca. Na miejsce przyjechaliśmy w noc, wygoniono nas z wagonów w mróz i śnieg. Nadał byłem tylko w koszuli i szynelu. Szliśmy po pas w śniegu, gęśiego, potem kazano się nam zatrzymać. Pojedynczo wpuszczano nas do zony.

Przy wejściu była budka strażnicza, gdzie odbywało się "badanie lekarskie". Polegało ono na tym, że kazano nam zdjąć spodnie i lekarz szczypał więźnia w póldupek. Na tej podstawie oceniał siły więźnia i kierował do pracy.

Ulokowano nas w świeżo zbudowanym baraku z nieociosanych bierwion nie przełożonych mchem. Barak był jeszcze bez dachu, przykrywał go tylko sufit z żerdeń pokrytych śniegiem. Na środku baraku stał gliniany piec, który w ogóle nie grzał. W baraku było nas ze sto pięćdziesiąt osób, staliśmy ciasno jeden obok drugiego. Śnieg na suficie zaczął topnieć i zalewała nas woda. W baraku byli kryminaliści, "wory" i "mieloczniki", którzy okradli nas z reszty odzieży. Mnie zabrali szynel, czapkę i koszulę, tak że zostałem w samych spodniach. Jeden z Litwinów, silny i wysoki mężczyzna, stawiał opór złodziejom i został przez nich pobity do krwi. Więcej go nie widziałem.

Potem dowiedziałem się, że jesteśmy w miejscowości IZMA w republice KOMI, w jednej z kolonii SIEW-ŻEL-DOR-ŁAG-u /Siewiernyj Żeleznodorożnyj Łagier/.

Jeden z Litwinów ulitował się nede mną i dał mi worek, którym mogłem sobie przykryć plecy. Raz dziennie szliśmy na stółkę, gdzie dawano nam po pół litra zupy z kiszonych, zielonych pomidorów. Byłem zmarznięty, głodny, nie mogłem spać.

Po trzech dniach dostaliśmy ubranie obozowe. Składało się ono ze spodni i bluzy uszytych z granatowego drellichu, wotowanych spodni i kufajki, buszlatu-kufajki obszytej szynelem wojskowym, butów filcowych - walek i czapki-uszanki. Ubrałem się w to wszystko, zrobiło mi się ciepło i zasnąłem. Nie wiem jak długo spałem, obudził mnie czyjś krzyk i szarpanie. W baraku nie było prawie nikogo poza "worami". Jeden z nich powiedział, że jestem w jego brygadzie. Dał mi puszkę po "świnnoej tuszonce", siekierę i rękawice.

Wyszliśmy z obozu i ruszyliśmy gęsiego w drogę. Było nas około pięćdziesięciu. Szliśmy aż do wieczora. Zatrzymaliśmy się w lesie i dowódca konwoju powiedział: "Tu będziecie mieszkać." - Rozpaliliśmy ogniska i zagotowaliśmy sobie jedzenie. Każdy dostał po 300 gramów chleba, łyżkę kaszy i flądę długą na 10 cm. To był najniższy "pajok" /porcja/ dla niepracujących.

Większość więźniów stanowili Litwini, Łotysze i Estończycy. Miejsce, w którym nam kazano żyć, nazwano SIED' WOSZ /Siedź wszo/.

Pracowaliśmy przy wyrębie lasu. Ja obciosywałem pnie z gałęzi. Brygady ciesielskie budowały baraki. Na pierwszy barak czekaliśmy ze dwa tygodnie pod gołym niebem. Zamieszkała w nim moja brygada drwali. W baraku były cztery rzędy piętrowych pryczy, porobionych z żerdek. Przy drzwiach baraku stała beczka z "chwoją". Były to szpilki modrzewia, brusznicy i inne zioła zalane wodą. Picie "chwoi" miało chronić przed szkorbutem /cynga/.

Brygada liczyła 35 osób. Dzielila się na "zwiena" /ogniwa/. W każdym ogniwie był "pilszczyk", który za pomocą łączka /"łuczok"/ - piły podobnej do piły stolarskiej, ścinał drzewa i ciął je na 8-metrowe odcinki. Drugi człowiek ogniwa ociosywał pnie z gałęzi, natomiast trzeci, wóznicza, zwoził je na plac. Najniższa norma zimowa wynosiła 4 m^3 , natomiast norma letnia, najwyższa - 12 m^3 na jedno ogniwo. Zależnie od wykonania normy dostawaliśmy "pajki". Były trzy "pajki": jeden-jeden, dwa-dwa, trzy-trzy. Na każdy "pajok" przypadało 0,5 litra zupy, oprócz niej dostawaliśmy chleb, odpowiednio 450, 500 i 600 gramów chleba i "zapiekanki" /jedną, dwie lub trzy/. "Zapiekanka" to była kostka zastygniętej kaszy wysoka na 1,0 - 1,5 cm o wadze około 100 gramów. "Pajki" zaczęliśmy dostawać dopiero po wybudowaniu kuchni, a do tego czasu dostawaliśmy suchy prowiant.

Chleb trzeba było od razu zjadać, albo bardzo pilnować, bo go kradli. Za kradzież chleba złodziej mógł zostać zabity przez okradzionego. Ja raz ukradłem chleb. Miało to miejsce pierwszego dnia po wejściu do baraku. Chleb był pokrojony na 35 "pajek", wszyscy dostali tę samą ilość, po 450 gramów. Rozdawano go wieczorem, po powrocie z pracy. Rozdający chleb podawał go więźniom z deski, na której miał kilka porcji. Dał mi ostatni kawałek chleba, wrócił do stołu, nałożył następne i zaczął rozdawać znowuode mnie. W ten sposób miałem dwie porcje chleba. Po rozdaniu natomiast zabrakło porcji dla rozdającego. Zrobiono w baraku rewizję. Ukryłem chleb w rękawie "buszlata" i szczęśliwym trafem nie został on znaleziony. Przyśiągłem sobie, że już nigdy chleba nie ukradnę.

W baraku stał drewniany piec, w którym ciągle palono drewno. Piecem opiekował się "dniwalnyj" - stary "wor" z dużym wyrokiem. Nie wychodził on do pracy, tylko pilnował ognia i baraku.

Przez pierwsze miesiące w ogóle się nie myłem, nie zdejmowałem butów w obawie przed ich utratą. Wszystkich więźniów oblaży wszy, były ich miliony. Po kilku miesiącach wybudowano łaźnię, przywieziono też "prożarkę". Jest to specjalna beczka, w której wypraża się odzież dla zabicia wszy. Przed kąpielą trzeba było rozebrać się do naga i związać ubranie sznurkiem tak, aby skę nie rozsypało. Było to ważne, bo gdy zawiniątko rozsypało się w "prożarce", nie było szans, aby otrzymać z powrotem swoje rzeczy, zostawały tylko najgorsze szmaty. Następnie szło się do łaźni. Dostawaliśmy po litrze wody w cebrzyku i po plasterku mydła. Mycie trwało 15 minut. Potem trzeba było czekać na ubranie, aż się wypraży. Kąpiel początkowo odbywała się co miesiąc, później co tydzień, co dwa tygodnie. Wtedy wszy wyginęły. Zato pojawiły się pluskwy. Obsiadły ściany baraku tak gęsto, że zakryły drewno. Najwięcej było ich na suficie. Tłukliśmy pluskwy czym popadło, strasznie przy tym śmierdziały. Byli więźniowie, którzy próbowali je jeść, ale powodowało to zatrucie. Pluskwy mają specjalny instynkt i potrafią speść z sufitu na najmniejszy, nie zakryty odzieżą kawałek ciała. Pluskwy oblażyły nas tak gęsto, że byliśmy nimi okryci jak koka. Wystarczyło przejechać ręką po ciele, żeby wyglądać jak rzeźnik. Latem wyganiano nas z baraku na tydzień czasu i zabijano pluskwy dymem. Zawsze jednak połowa przeżywała.

Po wybudowaniu stołówki zaczęliśmy dostawać "pajki". W drugim roku norma chleba wzrosła do 500, 700 i 1200 gramów chleba.

Głód i ciężka praca spowodowały, że szybko traciłem siły. Stałem się "dochadiagą". Zapominałem, że kiedykolwiek byłem syty. Nie wierzyłem, że można zjeść ile się chce. Było to jak sen. Głód doskwierał mi tak bardzo, że zamieniałem chleb na tytoń. Za porcję chleba dostawałem 100 gramów tytoniu. Działał on na mnie w ten sposób, że zabijał uczucie głodu. W ten sposób jeszcze bardziej traciłem siły. "Dochadiaga" to jest pół-trup. Straciłem pamięć, słuch, widzenie kolców. Nie pamiętałem swoich braci i sióstr, widziałem tylko czerą i szarość jak na zdjęciu. W lesie zrywałem korę i szpilki modrzewia.

Potem przerzuciłem się na żywicę. Była gorzka jak chinina, po wyżuciu traciła smak i wyglądała jak guma do żucia. Byłem taki słaby, że nie mogłem już utrzymać siekiery w ręku. Najgorszy był rok 1947. Zima była bardzo ciężka. Były zabieje śnieżne - "purga". Pewnego razu wiatr zdmuchnął mnie ze ścieżki i wpadłem w śnieżną zaspę. Nie mogłem wydostać się o własnych siłach i dopiero inni więźniowie pomogli mi wstać. Przerzucono mnie do brygady "dochadąg". Kopaliśmy ścieżki w śniegu dla zaprzęgów konnych zwożących drewno. Byłem tak osłabiony, że chciałem ze sobą skończyć. Rozebrałem się do naga i siadłem na śniegu. Traf chciał, że brygadzysta, który zazwyczaj w ogóle do nas nie przychodził, tego dnia przyszedł. Mróz był poniżej 30°C, ale ja w ogóle nie czułem zimna. Gdy brygadzysta mnie zobaczył, zaczął mnie bić i kopać po całym ciele tak, że ja zamiast zamarznąć - rozgrzałem się. Po tym wypadku pracowałem już tylko z innymi więźniami, nigdy sam.

Razem z czterema innymi kolegami odesłano mnie do palenia gałęzi, które pozostały po letnim wyrębie. Jeden z kolegów, Rosjanin, w czasie odpoczynku zaproponował, że mi odetnie palce. Dzięki temu mógłbym zostać przeniesiony na innego obozu, prawdopodobnie na południe. Nie zgodziłem się, bo bałem się kalectwa. Wówczas on poprosił mnie, abym ja mu to zrobił. Odmówiłem. A wówczas on wziął siekiere i odrębał sobie pół dłoni tak, że został mu tylko keiuk. Rana na mrozie wcale nie krwawiła. Dowiedziałem się potem, że tej zimy już 27 więźniów tak się okaleczyło.

Mieliśmy wówczas kiepskie wyżywienie, ordynarni "barbosi" bili nas za każde przewinienie. Każdy chciał przeżyć, nawet kosztem drugiego. Zdarzało się, że "wory" nożami cięli się po brzuchach, klatkach piersiowych i rękach po to, aby trafić do szpitala.

Jeszcze jako "dochadaga" dostałem się do brygady "OK" /oddechajuszcząją komanda/. Do tej brygady brano najlepszych pracowników, którzy wykonywali normy i osłabli, ale naczalstwo miało nadzieję, że po odpoczynku odzyskają siły. Nie wiem, dlaczego ja trafiłem do tej brygady. Było nas 35, brygadystą był Ukrainiec, straszny złodziej, ale nie "wor". "Worów" się szanowało, bo oni nie znęcali się i nie łakomili się na byle co. "Wory" potrafili np. okraść magazyn żywności.

Ten Ukraińiec brał co mu wpadło w ręce i ciągle nas bił. To był "miełocznik". W brygadzie "OK" dostawaliśmy "pajok" dwa-dwa mimo tego, że nie wychodziliśmy do pracy. Cały dzień leżeliśmy w barakach, wychodziliśmy tylko do stołówki.

Pewnego razu dostarczono nam koce. Brygadzysta kazał mi zostać w baraku i ich pilnować. Kiedy brygada wróciła ze stołówki, Ukraińiec powiedział, że ukradłem jeden koc. Wziął kij i zaczął mnie bić. Czołgając się, na czworakach, ciągle bity - wydostałem się z baraku i uciekłem do izby lekarskiej. Brygadzysta gonił mnie, ale do lekarza go nie puszczono. Lekarz, gdy dowiedział się, że jestem Polakiem, powiedział brygadziście, że Polacy nie kradną. Potem zbadał mnie i położył do szpitala.

Były tam poduszki, sienniki i koce. Czuję się jak w niebie. Jedzenie nam podawano do kózka. W tym szpitaliku spędziłem wigilię. Z chleba zrobiłem sobie kolację wigilijną. Chleb smakował tak jak chciałem, dosłownie tak było. Jak chciałem jeść tort, to chleb miał smak tortu.

Tej zimy przywieziono pięć - siedem dziewcząt z AK, ale nie miałem z nimi kontaktu. Były u nas kilka tygodni. Przywieziono również transport dzieci, tzw. "bezprizorników". Było ich ze trzydzieści. Zamknięto ich w baraku ogrodzonym dodatkowo 4-metrowym płotem z drutu kolczastego. Wystawiono specjalną straż. Dzieci z baraku nie wypuszczano. Mówiono, że są gorsi od "barbosów", od psów i wilków. Są to najstraszniejsze stworzenia w obozie. Gdyby ich wypuścić, to by roznieśli obóz. Po jakimś czasie zaczęto co lepszych wypuszczać na teren obozu. Potrafili rzucać się na człowieka z palcami do oczu, gryźć w nos i za gardło tak, że trudno ich było oderwać od ofiary. Po dwóch miesiącach ich zabrano.

Z kolonii "SIED' WOSZ" przerzucono mnie do innej. W czasie transportu znowu silniejsi okradali słabszych.

W nowej kolonii pracowałem przy wyrębie lasu. Byłem "zwoźnikiem" /woźnicą/. Miałem dobrego, belgijskiego konia. Po dwu miesiącach przeniesiono mnie na "kalcówkę", czyli do ładowania drewna węgla na wagony. Ogniwo składało się z czterech osób. Wagony były długie na 24 metry i każdy wagon ładowały dwa ogniwa. Drewno wtaczaliśmy przez burty na specjalnie podciosanych "prowadnicach". Wagon trzeba było naładować na wysokość jednego metra ponad burtę wagonu. Wystające drewno zabezpieczaliśmy kłonicami i ściągaliśmy łańcuchami.

Gdy przyszły wagony, trzeba było je ładować bez względu na porę dnia czynocy i bez względu na pogodę. Zimą temperatura spadała do -45°C , kolonia przy takim mrozie nie wychodziła do pracy. W ten mróz przyszły wagony. Dostaliśmy najlepsze ubrania, twarze wysmarowano nam wazeliną i poszliśmy do pracy. Poruszaliśmy się jak lunatycy. Trzeba było tak oddychać, żeby para nie cofała się na twarz, bo natychmiast zamarzała. Jak się splunęło, to na ziemię spadał lód. Myślałem, że tego nie wytrzymam, to była rozpacz, modlitwa za modlitwą, żeby przeżyć.

Pewnego razu zawołano naszą brygadę i dano nam na plecy długie bele, które kazano nieść przez bagna. Był koniec października. Nieśliśmy te bele skacząc z kępy na kępę. W czasie takiego skoku siekiera, którą miałem wsuniętą w pasie za sznurki, wysunęła się, spadła i wbiła mi się w nogę. Rzuciłem deskę w bagno, za co zostałem obity. Musiałem dalej iść z brygadą i do kolonii wróciliśmy dopiero nad ranem. Poszedłem do lekarza. Brygadzista chciał mnie oskarżyć o samouszkodzenie, ale lekarz mnie wyratował. W przeciwnym wypadku byłbym ukarany karcerem. W zimie karcer oznaczał prawie pewną śmierć.

Nogę leczyłem z miesiąc czasu, dostałem gangreny, ale w końcu wydobrzałem. W tym czasie zabito w czasie próby ucieczki dwóch Rosjan, kapitanów odznaczonych orderami. Ich zwłoki, zgodnie z obozowym zwyczajem, przez trzy dni leżały przy bramie tak, że wychodzące do pracy brygady musiały koło nich przechodzić. Potem przeniesiono je do łaźni, kazano mi je pilnować. W tym czasie nikt nie mógł wchodzić do łaźni, a mnie zabroniono pod wielką karą zabierania mięsa ze zwłok. Trupów pilnowałem, żeby je nie zjedzono. Tam dowiedziałem się o wypadkach ludźmierstwa. Jeżeli jakiś więzień zmarł czy został zabity w baraku i straż się o tym na czas nie dowiedziała, to do rana zwłoki były zjedzone i człowiek po prostu zniknął. Zdarzało się, że widziałem jak przy ogniskach pieczono mięso, ale mówiono, że to ze zdechłego konia. Ja raz dostałem kawałek żyłastego mięsa, które zjadłem. Potem dowiedziałem się, że to była ludzka pięta.

Zwłok w łaźni pilnowałem do czasu aż nie zebrała się komisja lekarska. Wówczas przyszedł do mnie sanitariusz, z którym otworzyliśmy klatki piersiowe, brzuchy i czaszki zabitych. Po skończonej sekcji zwłoki zostały zaszyte i wywiezione z obozu. Podobno topiono je w bagnach.

Komendantem tej kolonii był Ajszman - Żyd. Był bardzo ostry, wredny człowiek, nieprzyjemne Żydzisko.

Co najmniej raz w tygodniu, zwłaszcza w dni wolne od pracy robiono nam "szmond". Wyganiano nas z baraków i kazano rozbiierać się do naga. Dokładnie sprawdzano każdą sztukę odzieży. Za posiadanie metalu karano karcerem. Po rewizji liczono nas. "Barbosi" mylili się i liczenie trwało godzinami.

Moja rodzina wyjechała z Wilna do Polski w lipcu 1945 roku. Wyjeżdżając rodzice przekazali cały swój dobytek do klasztoru Sióstr Wizytek w Wilnie przy ulicy Ignacego 3. W zamian za to poprosili zakonnice, aby się mną opiekowały. Jedną z zakonnice, Ewa Czeczowska, zajęła się mną. Przesyłała mi co miesiąc, najrzadziej raz na kwartał, 2-3-kilogramową paczkę z tytoniem, słoniną, sucharami i cebulą. To mnie utrzymało przy życiu.

Po dwóch latach obozu stałem się - tak jak Ruscy - pół-zwierzęciem. Byłem tak samo agresywny, rzucałem się z palcami do oczu, gryzłem, kopałem. Nauczyłem się tak dobrze przeklinać, że miałem respekt w otoczeniu. Pozycja więźnia zależała od długości puszcanych "wiązanek". Wtedy już nikt mnie nie napadał. Gdy rozdawano nową odzież, brałem sobie co lepsze sztuki, umiałem o to walczyć.

Przerzucono mnie do następnej kolonii. Tam stałem się znów "dochadziagą". Przydzielono mnie do brygady drwali. Dano łęczek i kazano piłować. Brygadzystą był "dniewalnyj"-Żyd, który pilnował baraku, a którego okazyjnie odesłano do pracy z nami. "Dniewalnyj" i brygadzysta to byli panowie życia i śmierci więźniów.

Byłem tak osłabiony, że nie mogłem piłować drzewa, traciłem równowagę i przewracałem się. Poszedłem do brygadzysty prosząc o inną pracę. Wpadł na to we wściekłość i uderzył mnie obuchem siekiery w plecy. Straciłem władzę w nogach i padłem w śnieg. "Pridurki" /pomocnicy/ brygadzysty powstrzymali go przed dalszym biciem. Na koniec dniówki zawleczono mnie do zony. Dostałem od lekarza miesięczne zwolnienie od pracy, leżałem w baraku na swojej pryczy. Ponieważ byłem uszkodzony z winy brygadzysty, nie odebrano mi "pajki", tylko dano mi normę jeden-jeden /500 gramów chleba, 0,5 litra zupy, zapiekanka/. W tym czasie do zapiekanki dodawano naparstek oleju na całą tacę. Po wyzdrowieniu pozostałem w obozie i tynkowałem izbę lekarską i szpitalik.

Na terenie zony pracowałem z krótkimi przerwami. Potem zostałem przerzucony do brygady kolejowej. Zostałem "kastil-szczykiem", tzn. wbijałem "kastile", tzn. gwóźdźcie mocujące szyny do podkładów. Na nowych torach często wykolejała się lokomotywa; wówczas podnosiliśmy samodzielnie, bez żadnych dźwigów.

W zimie pognano naszą brygadę torami. Ja niosłem na plecach skrzynkę ze szkłem. Uginałem się pod ciężarem, niosłem ze strasznym cierpieniem. Doszliśmy do namiotu, w którym nas rozlokowano. Zająłem jak zwykle pryczę na górnych narach koło pieca. Miałem już taki instykt, który pozwalał mi od razu trafić w najcieplejsze miejsce w baraku. W tym namiocie mieszkaliśmy przez trzy miesiące. Układaliśmy na śniegu drogę z belek dla ciężarówek. W namiocie było tak zimno, że z dachu wewnątrz zwisały sople. Pewnego razu wezwał mnie komendant i powiedział: "Ty skoro panem budziesz. Jest przykaz, byś został panem." - Byłem tam jeszcze dwa tygodnie, czułem, że coś wiśnie w powietrzu. Odebrano mi ubranie i walinki, w zamian dając stare szmaty i skórzane buty. Pieszko doszliśmy z konwojem do stacji. Potem jechaliśmy pociągiem. Po kilku dniach dojechaliśmy do posiołku Abis. Był to punkt etapowy, do którego zwozono wszystkich, którzy idą do domu, na nową rozprawę albo do innego łagru. Do kolonii szliśmy pieszko. Była silna zima - "purga", noc, szliśmy trzymając się jeden drugiego. Do obozu doszliśmy jeszcze w nocy i do rana przesiedzieliśmy tam. "Barbos" prowadzący areszt pozwolił nam ogrzać się przy piecu, dał nam chleba. Wymieniłem z nim też coś za chleb, którym podzieliłem się z drugim więźniem. Za dnia przekazano nas do zony. Umieszczono nas w brudnym, zaśmieconym baraku. Byli w nim straszni złodzieje i łobuzy, skaczący sobie do oczu, bijący się i szamocący. Było tam zimno. Raz dziennie prowadzono nas na stołówkę. Kolega, z którym przywieziono mnie do tego obozu, ulokował mnie w innym baraku. W nim żyli artyści, którzy jeździli po koloniach i dawali występy. W tym czasie nie było ich w baraku. Był tylko "dniewalnyj", który okazał się znajomym mego kolegi. W tym baraku dostałem cyngi. Na prawej nodze otworzyła się rana, noga zaczęła gnąć tak, że miałem żyły na wierzchu. Wywiązało się zakażenie krwi. Poszedłem do szpitala, leżałem w nim tydzień. W końcu zostałem odesłany na transport.

ABIS znajdował się nad samym oceanem, na północ od Warkuty. Droga prowadziła przez Uchtę, Moskwę do Mińska. Po drodze mówiono do mnie: "Bandit", skoro panem budziesz!" - Ja jednak byłem pewny, że wiozą mnie do Wilna na nową rozprawę. W Mińsku wsadzono nas do wagonów pasażerskich. Do naszego wagonu wsadzili nowo aresztowanych. Jako stary łagiernik zająłem z kolegą najlepsze prycze na samej górze. Z konwojem ustaliliśmy, że do naszego przedziału dadzą tych, którzy mają duże worki. Jak tylko pociąg ruszył, zaczęliśmy im zabierać chleb, słoninę, cebulę, suchary i ubrania: swetry i płaszcze. Nikt nie miał prawa się bronić. Jeżeli podnosił się krzyk, to "barbos" uciszał. Nabraliśmy ile nam było trzeba, wleźliśmy na górę z jedzeniem i najedliśmy się. Do worków włożyliśmy ubranie i przekazaliśmy "barbosom". Taki był zwyczaj w każdym transporcie.

Dojechaliśmy do Brześcia, gdzie pod konwojem popędzono nas do więzienia. Przed bramą wywołano mnie z szeregu, jeden konwojent poprowadził mnie przez miasto. Szliśmy długo, aż na koniec zobaczyłem z daleka biało-czerwony sztandar. Przyszliśmy do otoczonego drutem kolczastym obozu. Modliłem się, aby tam zostać. Na drutami byli sami Polacy.

Po przyjęciu mnie do obozu poszedłem do dowódcy Polaków, oficera AK. Gdy dowiedział się, że jestem po wyroku, ale nie odbyłem całej kary, obiecał mi, że mnie wyśle do Polski pierwszym transportem. Dał mi kociołek zupy i chleb. Potem dowiedziałem się, że tych z wyrokami starano się wysłać do Polski jak najszybciej, bo były wypadki, że Sowieci zabierali ludzi z obozu z powrotem.

Po czterech dniach oczekiwania, w nocy, wywołano mnie. Zamknięto nas w wagonach, na granicy sprawdzili nas jeszcze Rosjanie. Rano przyjechaliśmy do Białej Podlaskiej. Zarejestrowałem się w PUR-ze. Dostałem żywność, słodycze, spodnie i dwytysiące złotych. Dokupiłem sobie jeszcze chleba. Na drugi dzień dostałem dokumenty i bilet na pociąg do Wrocławia. Od siostry Czeczowskiej dowiedziałem się, że tam właśnie jest moja rodzina.

Jak wróciłem z obozu, miałem na głowie czapkę ze szpicem i dużą czerwoną gwiazdą, buszlat, watowe spodnie i buty wojskowe. Cały byłem powiązany sznurkami. Miałem opuchlizną głodową. Łatwiej było mi się porozumieć po litewsku i po rosyjsku niż po polsku. Przez cały okres pobytu w łagrze nie spotkałem Polaka.

Ciągle byłem głodny. Potrafiłem zjeść jajecznicę z dziesięciu jaj i nadal odczuwałem głód. Dopiero gdy zeszła mi opuchlizna, wychądłem jak patyk - to zacząłem odczuwać sytość po jedzeniu.

Kiedyś, będąc w obozie jeszcze, ślubowałem sobie, że jeśli przeżyję, to zostanę księdzem. Jak już doszedłem do siebie, rodzice wysłali mnie do księży Marianów do Warszawy. Zacząłem tam uczęszczać do drugiej klasy gimnazjum. Miałem olbrzymie zaległości, szczególnie w języku polskim, który prawie zapomniałem. Dzięki wyteżonej nauce i pomocy księdza, który był moim kapłanem w AK, nadrobiłem jednak zaległości.

U księży Marianów byłem do marca 1950 roku, kiedy to zostałem powołany do wojska. Wcielono mnie do batalionu roboczego i całą służbę przepracowałem w kopalni "Michałkowice".

Z wojska zwolniono mnie w listopadzie 1952 roku. Na krótko wyjechałem do Wrocławia, potem wróciłem na Śląsk. Ożeniłem się i przez 17 lat pracowałem jako górnik. Życie miałem bardzo ciężkie, byłem rozgoryczony, nie umiałem się śmiać. Dopiero w rodzinie mojej żony doszedłem z czasem do siebie. W 1967 roku wróciłem do Wrocławia i pracowałem do emerytury w warsztacie mojego kolegi.

/Franciszek Misztowt/